

TO NAJWIĘKSZY GBUR POD SŁOŃCEM,
A ONA BĘDZIE POTRZEBOWAŁA JEGO POMOCY.

Midnight Valentine



J. T. GEISSINGER



*Midnight
Valentine*

J.T. GEISSINGER

Tytuł oryginału: *Midnight Valentine*

Copyright © J.T. Geissinger 2018

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne, Oświęcim 2024
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Kamila Reclaw

Korekta: Marta Bałażyk, Anna Miotke, Natalia Stefanik

Skład i łamanie: Mateusz Bartel

Oprawa graficzna książki: Weronika Szulecka

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-640-6 · Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne · Oświęcim 2024
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
📷 [niezwyklezagraniczne](https://www.instagram.com/niezwyklezagraniczne)
✂ [Wyd_NieZwykle](https://www.tiktok.com/@Wyd_NieZwykle)
🎵 [wydawnictwoniezwykle](https://www.youtube.com/channel/UC...)

J.T. GEISSINGER

*Midnight
Valentine*

Tłumaczenie
Edyta Misiewicz-Hulewska

Dla Jaya, który jest moim kompasem

Nie szlochaj, stojąc nad moją mogiłą wytrwale,
Bo tam mnie nie ma, ja nie śpię wcale.
Jestem wiatrem, który wieje,
W szczerym polu poprzez knieje.
Jestem słońca odbłaskiem na zbożu,
Małym deszczykiem w jesiennym przestworzu.
Gdy się przebudzasz ze snu o świcie
Ja cię pobudzam i wskrzeszam życie
Poprzez okrężne ptaszków latanie
I gwiazd o zmroku migotanie.
Nie płacz, stojąc nad moją mogiłą wytrwale,
Bo tam mnie nie ma, nie zmarłam wcale.

(Mary Elizabeth Frye, wiersz w przekładzie
Haliny Arendt – przyp. tłum.)





1

– Wierzy pan w reinkarnację?

– Przerabialiśmy to już, Megan.

– I nigdy nie udzielił mi pan jasnej odpowiedzi. Nic by się panu nie stało, gdyby wyłożył pan kawę na ławę i powiedział, co o tym sądzi.

– Liczy się to, w co ty wierzysz, i powody, dla których tak jest.

Podnoszę się z niewygodnej skórzanej kanapy, na której leżę w każdy czwartek przez pięćdziesiąt minut od ostatnich dwóch lat, i spoglądam na doktora Singera. To przystojniak w stylu mechanika z lat pięćdziesiątych. Ma obcięte na jeża, siwe włosy. Nosi klasyczną białą koszulę i okulary w rogowej oprawie. Postanowiłam mu zaufać już po dziesięciu minutach naszego

pierwszego spotkania. Wiedziałam, że będę go okłamywać, tak jak okłamywałam każdego terapeutę, do którego wcześniej chodziłam.

Istnieją prawdy zbyt bolesne, aby mówić o nich na głos. Niektóre demony należało pozostawić w spokoju, by gnęły w mroku przez wieczność.

– To nasza poźegnalna sesja, doktorze Singer. To oznacza, że do pana ostatnia szansa, żeby mi pomóc.

Pomimo że uczono go, aby zachować neutralny wyraz twarzy, wyraźnie się krzywi.

– Masz wrażenie, że ci nie pomogłem, Megan?

Oczywiście, że nie. Jednak to nie jego wina, że nie da się posklejać w całość wszystkich roztrzaskanych kawałków mojej psychiki, więc uśmiecham się i mówię coś miłego:

– Jest pan najlepszym terapeutą, jakiego miałam.

Obserwuje mnie zza okularów w rogowych oprawkach oczami koloru starego dżinsu, wyblakłego od prania w zbyt wielu smutnych historiach. Poznanie nadmiernej ilości trujących sekretów wybarwiło je do takiego bladego odcienia.

– Zadzwoisz do doktora Andersa, kiedy dotrzesz do Oregonu?

– Tak – kłamię. – Jak tylko się zadomowię.

– Mam nadzieję, że to zrobisz. To dobry człowiek. I ma wysokie kwalifikacje.

– Pan również. I niech pan zobaczy, do czego nas to doprowadziło.

Wpatrujemy się w siebie, podczas gdy zegar tyka cichutko na ścianie. Na zewnątrz rozlega się wycie psa. To nieznośnie samotny dźwięk.

– Jesteś inteligentną kobietą, Megan. Wiesz, że terapia nie odniesie skutków, jeśli się w nią nie zaangażujesz.

– Zjawiałam się u pana niezawodnie co tydzień przez dwa lata. To chyba świadczy o zaangażowaniu.

– Twoje ciało pozostawało w gabinecie, ale myśli gdzie indziej. Nigdy nie byłaś całkowicie otwarta ani szczerą. Powiedz mi, że się mylę.

Podnoszę torbę z podłogi, zarzucam ją na ramię i wstaję, gotowa z tym skończyć. Czeką na mnie ciężarówka od przeprowadzek, nowe życie i tysiące marzeń do pogrzebania w piasku pustyni.

– Zawrzyjmy układ. Powie mi pan, czy wierzy w reinkarnację, a ja powiem panu coś prawdziwego. Cokolwiek zechce pan wiedzieć. Odpowiem szczerze.

Doktor Singer wstaje, rozprostowuje swoje tyczkowate kończyny i wychodzi zza biurka. Zatrzymuje się przede mną i opiera dłonie na biodrach.

– W porządku. Lepiej późno niż wcale – oznajmia po chwili zamyślenia. – Nie wierzę w reinkarnację. Ani w życie pozagrobowe, jeśli mam być całkowicie szczerą. Myślę, że nasze życie jest najlepszym, co może nas spotkać, dlatego to takie ważne, by je jak najlepiej wykorzystać. Należy stawiać czoła problemom, przepracowywać je, aby ostatecznie się od nich uwolnić i cieszyć danym nam czasem.

– Okej. Dziękuję. – Potakuję niezbyt zaskoczona jego odpowiedzią.

W nietypowym geście przywiązania kładzie dłonie na moich ramionach i spogląda mi w oczy.

– A teraz pora na moje pytanie. Dlaczego nie pozwoliłaś sobie pomóc? – pyta miękkim tonem.

Sprawia wrażenie szczerego. Jestem poruszona jego pytaniem, tym, jak bardzo chciał mi pomóc, jego dobrocią i wiarą, że wszystkie życiowe problemy można rozwiązać, zwyczajnie o nich rozmawiając.

– Ponieważ nieważne, jak bardzo by pan tego chciał, doktorze Singer, nie da się pomóc komuś, kto jest już martwy.

Klepię go po dłoni, przeprasząc za niepokój, jaki wywołałam, a potem odwracam się i opuszczam gabinet.

Z Phoenix do Seaside jedzie się dwadzieścia dwie godziny bez przystanków, lecz ja zatrzymuję się na noc w miasteczku z jednym sygnalizatorem świetlnym. Wynajmuję pokój w tanim motelu i do nadejścia świtu leżę w ubraniach na pościeli, wpatrując się w sufit. Potem wypijam trzy filiżanki okropnej kawy w małej knajpce przy motelu i wracam na trasę.

Biegnąca przez Kalifornię autostrada międzystanowa numer pięć jest długim, nudnym pasem zatłoczonym osiemnastokółowymi ciężarówkami. Słucham bluesa w stacji radiowej, kiedy miejski krajobraz ustępuje drzewom migdałowym i pastwiskom. Faliste wzgórza w sercu regionu usiane są smukłymi sylwetkami dębów i wysokich, wypalonych letnim słońcem traw. Skręcam w lewo na Portland. Zostaje mi jeszcze półtorej godziny do celu podróży. Zanim docieram do Seaside, jestem wyczerpana i umieram z głodu, ale odczuwam dziwną ulgę.

Jeden dzień dłużej spędzony w Phoenix mógłby zepchnąć mnie na krawędź, na której żyłam od tak dawna.

Agentka nieruchomości przysłała mi klucze do domu, lecz postanawiam zatrzymać się po drodze, aby coś zjeść. Zajeżdżam do jadłodajni. Wypełniają ją pary siwowłosych staruszków i siedzący samotnie w boksie na tyłach knajpki mężczyzna, który obserwuje przez okno łagodny wieczorny deszcz.

Nawet w siedzącej pozycji widać, że jest potężnie zbudowany. Szwy jego czarnego płaszcza przeciwdeszczowego napinają się na jego szerokich ramionach. Ceramiczny kubek, na którym zaciska dłonie, wydaje się maleńki. Wygląda, jakby musiał zaklinować się pomiędzy siedzeniem a stolikiem, aby się zmieścić w boksie.

To nie rozmiar go jednak wyróżnia, lecz emanujący od niego groźny styl bycia typu „trzymajcie się z daleka”, sposób, w jaki się garbi, i kaptur przeciwdeszczowego płaszcza rzucający mroczne cienie na jego twarz. Sprawia wrażenie osoby, która nie chce, aby ktokolwiek się jej przypatrywał.

Zachowuje się, jakby się ukrywał.

– Co ci podać, kochanie? – pyta stojąca za ladą kelnerka. Trzyma w dłoni dzbanek z kawą.

To pulchna kobieta po sześćdziesiątce, o rumianych policzkach. Uśmiecha się do mnie, jakbyśmy byli przyjaciółkami. Siadam na jednym ze stołków i odkładam torebkę na blat.

– Poproszę kawę. I omlet z dodatkowym bekonem położonym z boku talerza.

Jeśli uznaje za dziwne to, że zażyczyłam sobie omlet na kolację, nie wspomina o tym. Zwyczajnie kiwa głową i nalewa mi kubek kawy, a potem mówi, że za chwilę wróci.

Kiedy kieruje się do kuchni, rozglądam się po pomieszczeniu, popijając kawę. Dotarłam do miasteczka po zmroku, więc nie miałam okazji, aby dobrze się po nim rozeznąć. Dostatecznie długo studiowałam jednak szczegóły tej miejscowości, żeby je zapamiętać.

Seaside, w stanie Oregon, to niewielkie nadmorskie miasteczko słynące z plaży o dobrych warunkach do surfowania, promenady wybudowanej w latach dwudziestych dwudziestego wieku, arkady i staroświeckiej karuzeli. Liczba ludności wynosi niewiele ponad sześć tysięcy, a to zupełnie inna bajka niż półmilionowy tłum zasiedlający Phoenix. Powietrze w tym miejscu jest zupełnie inne, świeże i rześkie, wypełnione zapachem soli i sosny, a nie smogiem i kamieniami wypalanymi przez bezlitosne pustynne słońce.

Mam nadzieję, że wszystko w tym miejscu będzie inne i że uda mi się zostawić za sobą koszmary.

Zajęta myślami dotyczącymi pracy, którą muszę włożyć w dom, popijam kawę i przysłuchuję się rozmowom, próbując się nie zastanawiać, co Cass powiedziałyby na temat tego miejsca, jak podskakiwałyby na stołku z podekscytowania.

Po kilkunastu minutach uświadamiam sobie, że czuję się niekomfortowo.

Rozglądam się zdziwiona intensywnością tego uczucia. Żaden z klientów nie spogląda w moją stronę. Muzyka jest radosna, wewnątrz jadłodajni czyste i jasne, a wszystko wydaje się normalne. Wręcz nudne.

Dlaczego zatem czuję mrowienie na karku?

Zerkam przez ramię i odkrywam powód. Przygląda mi się mężczyzna w przeciwdeszczowym płaszczu. Właściwie nie tylko przygląda. Wręcz obrzuca mnie piorunującym, jawnie wrogim spojrzeniem. Wpatruje się we mnie z kompletną odrazą, jakbym w jakiś sposób głęboko uraziła jego uczucia.

Jego zimne, twarde i zupełnie czarne oczy są niczym obsydian.

Unoszę brwi i odwzajemniam jego spojrzenie, ponieważ nie mam czasu na dupków o takim sposobie bycia.

– Proszę, kochanie. – Życzliwa kelnerka stawia przede mną talerz z jedzeniem. Rozmiar dania mnie zaskakuje. Ta porcja mogłaby wyżywić czteroosobową rodzinę. Na wierzchu niedbale spoczywa sterta placków ziemniaczanych.

– Wow. To kupa jedzenia.

Kelnerka wybucha śmiechem, od którego trzęsie się jej brzuch.

– Powinnam była ostrzec cię przed rozmiarem dania. Cal, to znaczy mój mąż, jest kucharzem. Lubi, gdy klienci wychodzą od nas z przekonaniem, że dostali dużo za to, za co zapłacili.

– Powiedz Calowi, że mógłby podnieść cenę tego omletu o dziesięć dolarów i nadal miałabym wrażenie, że dostałam dużo za tę kwotę. – Dłubię widelcem w olbrzymim, puszystym kopczyku. – Ile jajek zużyto do jego zrobienia?

Kelnerka chichocze.

– Nikt tego nie wie. Lata temu przestałam przekonywać go do trzymania się przepisów. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało, kochanie.

– Z pewnością. Dziękuję.

Uśmiechamy się do siebie. Kelnerka spaceruje wzdłuż lady, dolewając kawy klientom, a ja biorę się za jedzenie. Nie można mnie określić mianem wykwintnej smakoszki, więc w ciągu kilku minut zmiatom z talerza większość omletu i zaczynam się przebijając przez imponującą stertę placuszków. Kiedy podnoszę widelec do ust, ponownie ogarnia mnie dziwne uczucie. Małutkie włoski na ramionach stają mi dęba, a uszy palą jak po włożeniu palca do gniazdka.

Odkładam widelec, zgrzytam zębami i zerkam przez ramię.

Ponurak w płaszczu wpatruje się we mnie, jakby miał zamiar wyskoczyć z boksu i otworzyć ogień.

Lecz nie wie o mnie jednego. Nie jestem typem dziewczyny, która truchleje ze strachu w dziwacznej albo potencjalnie niebezpiecznej sytuacji. Jestem osobą, która stawia jej czoła, szczerząc kły i warcząc.

Bez mrugnięcia napotykam jego palące spojrzenie.

– Masz jakiś problem?

Chwytny na jego kubku z kawą się zacieśnia, aż mężczyźni bieleją kostki. Przełyka ślinę, mięsień w jego szczęce drga, ale milczy.

– Jak smakuje ci omlet, kochanie?

Chwilę dłużej wytrzymuję wypełnione nienawiścią spojrzenie ponuraka w płaszczu, zanim odwracam się do kelnerki.

– Jest niesamowity. Nie będę musiała jeść przez dwa dni... A właściwie cofam swoje słowa. Macie tartę limonkową?

Dociera do mnie charakterystyczny dźwięk, gdy potężny mężczyzna próbuje się ewakuować z małego boksu. Towarzyszy temu pobrząkiwanie, dudnienie, skrzypienie gumowych

podeszew na linoleum i zdenerwowane syknięcie. Wymija mnie, wzbudzając powiew powietrza i zostawiając po sobie roztaczający się zapach drewna. Nad wejściowymi drzwiami rozlega się dźwięk dzwoneczka, po czym zatrząskują się one z ogłuszającym hukiem. Walnął nimi z taką siłą, że zabrzęczały szyby w oknach. Jestem zdumiona, że nie popękały szklanki w lokalu.

Kelnerka zerka ponad moim ramieniem, potrząsa głową i wzdycha.

– Niezły z niego czaruś – oznajmiam oschłym tonem.

– Kiedyś był. – W jej głosie pobrzmiewa żal, który wzbudza moją ciekawość.

– Znasz go?

Jej życzliwe zielone oczy wypełnia smutek.

– Od dziecka. Wszyscy w mieście go znają. Mieszka tu całe swoje życie. W szkole średniej był kapitanem drużyny futbolowej i królem balu. Zaręczył się z najładniejszą dziewczyną w mieście. Wszyscy go kochali. Cieszył się taką popularnością w naszym regionie, że nawet namawiano go, aby ubiegał się o urząd. Potem wydarzył się wypadek i od tej pory nie jest już sobą.

Na wzmiankę o wypadku owija mnie chłodny welon przerażenia. Muszę oblizać wargi, ponieważ zaschło mi w ustach.

Kelnerka macha mi dłonią przed twarzą, jakby chciała rozwiać chmurę negatywnej energii.

– Przepraszam. Cał zawsze mi powtarza, żeby nie plotkować. Pozwól, że podam ci ciasto. – Niebawem wraca z tartą i dolewa mi kawy. – Przyjechałaś na wakacje?

– Nie. Przeprowadziłam się tutaj.

– Naprawdę? To takie ekscytujące! Nie sprowadza się do nas zbyt wielu nowych mieszkańców, którzy chcą zostać na stałe. Większość przybywających do Seaside o tej porze roku to turyści. Skąd jesteś?

– Z Phoenix.

Chyba jest pod wrażeniem.

– Ach! Jesteś z dużego miasta. Nigdy nie mogłabym mieszkać w takim miejscu. – Zauważyła obrączkę na moim palcu i jej oblicze się rozjaśnia. – Przyjechałaś tu z mężem?

To już nie boli tak jak kiedyś. Stałam się nieczuła na słowa typu „mąż”, „małżeństwo”, „dzieci”. „Miłość”.

– Mój mąż zmarł kilka lat temu.

Kelnerka kładzie dłoń na sercu.

– Ach, kochanie. Przykro mi to słyszeć.

Wyczuwam, że jest szczerą. Wiele osób mówi tak z grzeczności, nie mając tego na myśli, ale ta przyjazna kobieta do nich nie należy.

– Dziękuję.

– Więc masz gdzieś w pobliżu rodzinę? Może w Portland?

– Nie.

– Zatem pracę?

Zastanawia się, dlaczego przeprowadziłam się do takiej małej miejsciny. Odpowiedź na to pytanie nie jest jedną z tych rzeczy, na które się znieczuliłam, więc z radosnym uśmiechem karmię ją półprawdą.

– W pewnym sensie. Mimo że nie czeka na mnie tu żadna praca, zamierzam sobie ją zapewnić sama. – Kiedy ściąga brwi w skonsternowaniu, dodaje. – Kupiłam pensjonat Buttercup.

Wypuszcza z siebie pełen podekscytowania okrzyk, który przyciąga uwagę wszystkich klientów. Przez ramię krzyczy w stronę kuchni:

– Cal! Ta miła dziewczynka kupiła Buttercup!

Ciężko nazwać trzydziestodwulatkę dziewczynką. Nigdy nie byłam mała ani pod względem sylwetki, ani osobowości. Jednak kobieta odwraca się do mnie rozpromieniona, więc nie mam ochoty psuć jej zabawy takimi upierdliwymi szczegółami.

– To świetna wiadomość, kochanie! Nie miałam pojęcia, że pensjonat został sprzedany! To miejsce było wystawione na sprzedaż od ilu... chyba ośmiu lat?

– Dziesięciu, zgodnie z tym, co powiedziała mi agentka nieruchomości.

– Suzie Martin – mówi kelnerka, potakując. – Przepraszam, Suzanne. – Przewraca oczami. – Ciężko jest nazywać pełnym imieniem kogoś, kogo się zna, od kiedy sikał w majtki w przedszkolu. Gdyby się dowiedziała, jak o niej mówię, obdarłaby mnie ze skóry.

Posyła mi surowe spojrzenie, a ja pokazuję, że zamykam usta na suwak.

– Będę milczeć jak grób.

– Przy okazji, jestem Jean. Jean McCorkle. Witamy w Seaside!
– Wyciąga dłoń.

– Megan Dunn. – Wymieniamy uściski rąk i mam wrażenie, jakbyśmy zawarły jakiś układ.

Po chwili na pomarszczonej twarzy Jean pojawia się sarkastyczny uśmiešek.

– Nie cierpię przekazywać złych wieści, kochana, ale żywię nadzieję, że masz głębokie kieszenie i budowlane wykształcenie. Buttercup jest w rozsypce.

„Rozsypka” to niedomówienie. Należy wymienić dach, hydraulikę, wstawić nowe okna, usunąć pleśń, zagospodarować teren, wykonać roboty tynkarskie, malowanie, położyć nowe podłogi i naprawić elektrykę. Więc zasadniczo do zrobienia jest wszystko. Budynek w stylu wiktoriańskim wzniesiono na początku dwudziestego wieku. Ma osobowość i jest pełen uduwnień. Podzielono go na strefy jako pensjonat B&B i funkcjonował jako taki do pożaru kuchni. Poprzedni właściciel nie miał środków, aby przeprowadzić remont, więc wystawił go na sprzedaż. Od dekady stoi opustoszały, rozpadając się, wystawiony na działanie oceanicznego powietrza.

– Wymaga dużo pracy, ale z niecierpliwością czekam na projekt. Suzanne dała mi namiary na najlepszego wykonawcę w tych okolicach. Jutro zamierzam do niego zadzwonić. Muszę tylko obejrzeć pensjonat i zastanowić się, co powinno zostać potraktowane priorytetowo. Na szczęście ten fachowiec jest dyspozycyjny i może szybko oszacować, jakie prace są potrzebne. Nie mogę się doczekać rozpoczęcia remontu.

Jean mruga.

– Ach! Jestem pewna, że ma czas. Ale nie sądzę, żebyś go zechciała.

– Co masz na myśli?

Dudnienie silnika i huk gaźnika sprawiają, że oglądam się przez ramię. Przy krawężniku po drugiej stronie ulicy w deszczowy wieczór ponurak w płaszczu przeciwdeszczowym wsia-
da na motocykl typu chopper. Agresywnie wciska gaz, jakby czekał, aż opadnie chorągiewka, dająca znak, że rozpoczęły się zawody. Zrywa się z rykiem, opony rozchlupują wodę, a silny podmuch wiatru sprawia, że kaptur jego płaszcza opada na jego ramiona.

– Poznałaś już najlepszego wykonawcę w mieście, kochana, i wydaje mi się, że nie zapałałaś do niego sympatią – oznajmia Jean.

Kiedy posyłam jej zagadkowe spojrzenie, wskazuje podbródkiem w stronę okien i dźwięku ryczącego silnika, który znika w oddali, aż pochłania go bębnienie deszczu.

– On jest tym wykonawcą? – Moje serce zamiera.

Wzrusza ramionami ze skruszoną miną.

– Są jeszcze inni budowlańcy z Portland, ale znacznie drożsi i, szczerze mówiąc, ich praca nie dorównuje umiejętnościom Theo. Przyznaję, że potrafi być odpychający, ale jeśli pogodzisz się z tym, że nie mówi, to jest najlepszy w swoim fachu.

Choć to niegrzeczne stroić miny, moja twarz często łamie zasady i wykrzywia się w interesujących grymasach. Tak jak teraz.

– „Nie mówi”? Masz na myśli to, że jest niemy?

– Chodzi mi o to, że nie mówi.

– Jest niesłyszący?

– Nie.

– Więc potrafi mówić, ale postanowił tego nie robić?

Jean wzdycha, jakby żałowała, że nie może niczego zrobić, aby zmienić tę sytuację.

– Szczerze, kochanie, naprawdę nie wiem, na czym polega jego problem. Przed wypadkiem normalnie mówił, ale po nim nie odezwał się słowem. Może to uraz fizyczny, może kwestia psychiki, kto wie. Ja wiem jedno. Na pewno słyszy i rozumie, co mówią ludzie, tyle że nigdy nie reaguje. Więc nie oczekuj tego od niego, jeśli go zatrudnisz.

Robi się coraz ciekawiej.

– Jak mam się z nim porozumiewać, skoro nie będzie ze mną rozmawiał?

– Powiesz mu, czego chcesz, a on to wykona. Jeśli będzie miał pytania, napisze je w małym notesiku, który ze sobą nosi.

Informuje mnie o tym tak zwyczajnym tonem, jakby to był zupełnie normalny, standardowy sposób załatwiania interesów. Odsuwam od siebie talerz, wycieram usta serwetką i biorę następny łyk kawy.

– Dziękuję, ale chyba wypróbuję fachowców z Portland. Zaczepnę wiadomości od Suzanne.

– W porządku, kochanie. Rób, jak uważasz. Podać ci coś jeszcze czy przynieść rachunek?

– Poproszę o rachunek. Dziękuję, Jean.

Oddała się, zostawiając mnie zamyśloną i wpatrzoną w deszczowy wieczór. Rozmyślałam o ponuraku w płaszczu przeciwdeszczowym, byłym miejscowym cudownym dziecku, który stał się niemy i rzuca piorunujące spojrzenia klientom jadłodajni oczami czarnymi niczym dno studni.

Zastanawiam się, czy jego serce również jest pełne duchów.